

Beata Halicka, "Polski Dzik Zachód. Przymusowe migracje i kulturowe osvajanie Nadodrza 1945–1948"

Przeł. Aleksandra Łuczak
Universitas
Kraków 2015

Widoczny w ostatnich latach wzrost zainteresowania historią burzliwych wydarzeń przełomu, który nastąpił tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, bez wątpienia świadczy o naglącej potrzebie korekty dotychczasowych jej wersji, dowodząc przy okazji, że na gruncie polskim wciąż sporo w nich białych plam. Pisana pierwotnie dla niemieckiego czytelnika książka Beaty Halickiej wypełnia jedną z takich luk, opowiadając na nowo historię (przymusowych) migracji, których po 1945 roku doświadczyli Niemcy i Polacy – być może jednej z najbardziej dotkliwych i wymiernych konsekwencji decyzji podjętych podczas konferencji w Jałcie. Autorka stawia w centrum swoich rozważań Nadodrze, przestrzeń rozumianą nie tylko geograficznie, co przede wszystkim kulturowo i językowo – jako strefę kontaktu, w której doszło do niemal całkowitej wymiany ludności. Jest to przestrzeń wyjątkowa i zarazem już w punkcie wyjścia problematyczna, gdyż stanowi istotne miejsce pamięci w dwóch wielkich powojennych dyskursach tożsamościowych, na pierwszy rzut oka całkowicie się wykluczających, bo opartych na przeciwstawnych kategoriach: straty i zysku. Innymi słowy, Nadodrze – czyli de facto przedwojenne niemieckie Ostgebiete i powojenne polskie Ziemie Odzyskane, bezpośrednio konotujące inne, silnie nacechowane pojęcia, takie jak „wypędzenia” czy „repatriacje” – jak do tej pory odczytywane było głównie w ramach binarnych narracji narodowych czy też pamięci urzędowych podporządkowanych po jednej stronie Odry resentymentalnej martyrologii ziomkostw, po drugiej zaś peerelowskiej, sztucznie generowanej retoryce sprawiedliwości dziejowej.

Wobec takiego stanu rzeczy postawiony w książce postulat przesunięcia nacisku w kierunku odideologizowania, „historii oddolnych” i bardziej kompleksowej analizy doświadczeń bezpośrednich uczestników zdarzeń okazuje się w pełni zasadny. Co więcej, udaje się go z powodzeniem zrealizować przede wszystkim poprzez zestawianie oficjalnych danych i źródeł historycznych z dokumentami osobistymi: konkursowymi pamiętnikami i wspomnieniami polskich pionierów z lat pięćdziesiątych gromadzonymi w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, mniej więcej w tym samym czasie spisywanymi na rzecz przyszłych spraw roszczeniowych relacjami niemieckich uciekinierów, jak również robotników przymusowych przybyłych na tereny Nadodrza przed 1945 rokiem oraz Sowietów, którzy je wyzwolali i organizowali załóżki nowej administracji tuż po wojnie. Na podstawie wszystkich tych materiałów autorka opisuje najpierw proces dekonstrukcji niemieckiego krajobrazu kulturowego, nie tyle na poziomie zjawisk dyskursywnych i przemocy symbolicznej, ile wyliczając kolejne akty dosłownie rozumianej destrukcji, wojennej ruiny, masowego szabru i bezpośredniej przemocy fizycznej. Następnie relacjonuje proces mozolnej (od) budowy tożsamości regionów w ramach polskiej obecności na nich, trudne początki osvajania najbliższego krajobrazu, walkę o zaspokojenie podstawowych potrzeb na poziomie codziennych doświadczeń i instytucji lokalnych.

Z tej wielogłosowości i symultaniczności głosów dokumentujących kolejne etapy przejmowania przestrzeni wyłania się jednak przede wszystkim wielowymiarowy portret jej mieszkańców i relacji społecznych, w jakie ze sobą wchodzili: pełnych niejednoznaczności, magmatycznych w swojej strukturze, opartych na swoistym rozchwianiu pojęć i wartości, w których prosty podział na ofiary i złoczyńców nie ma racji bytu, a każde pojedyncze doświadczenie ludzkie należy rozpatrywać

osobno. Autorce udaje się dowieść, że wzajemny stosunek właściwie już byłych, lecz wciąż obecnych starych mieszkańców i ich następców obejmuje szeroki wachlarz emocji rozciągających się od nienawiści do empatii, a zarazem naznaczony jest wspólnym dla obu stron poczuciem bezwolności, atmosferą strachu i niepewności. Choć rzeczywistość osadnicza odbiegała znacząco od wyidealizowanych sloganów Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, to uogólniać tej atmosfery strachu i przymusu Halicka jednak nie próbuje, tworząc szczegółową typologię osadników i zaznaczając, że wśród przybyszy znajdowało się sporo ochotników pełnych entuzjazmu i nadziei, nieraz kuszonych możliwościami dobrobytu i łatwego zarobku. Zwrot w kierunku codziennego doświadczenia pozwala wreszcie uwypuklić wiele jak dotąd marginalizowanych czy też tabuizowanych, a zasługujących na osobne studia, problemów związanych z migracjami, takich jak chociażby stosunki intymne i emocjonalne między ludnością niemiecką a polskimi robotnikami przymusowymi czy pionierami, często stanowiące w rzeczywistości rewers bolesnych opowieści frontowych.

Znaczącą wartość poznawczą książki stanowi wreszcie fakt, iż tytułowa metafora Dzikiego Zachodu, odsyłająca do reguły prawa silniejszego, w konfrontacji z relacjami świadków umożliwia wskazanie prawdziwego dysponenta władzy w okresie wspomnianej wyżej dekonstrukcji starego oraz formułowania nowego ładu: armię i administrację radziecką obecną na tych terytoriach (na prawach stanu wojennego) aż do 1948 roku. Skala żołnierskiej samowoli, jak i oficjalnie prowadzonego w ramach retoryki łupu wojennego szabru niemalże całych poniemieckich miasteczek czy na przykład fabryk, przez prawie pół wieku niemożliwa do zrekonstruowania – w książce Halickiej zostaje przekonująco wyeksponowana.

W nieco szerszym kontekście, wykraczającym ponad podręcznikowe systematyzowanie faktów i rekonstruowanie realiów historycznych (czemu sprzyja bez wątpienia pierwotny adresat tekstu), książka mimowolnie wskazuje również na pewną słabość polskiego dyskursu migracyjnego. Mianowicie problem związany z potrzebą alternatywnej nazwy dla nacechowanych ideologicznie Ziem Odzyskanych. Przesunięcie w kierunku kategorii geograficznej jest bez wątpienia próbą słuszną, ale zarazem ograniczającą, co zresztą przyznaje sama autorka, pisząc, że przeprowadzone analizy i wyciągnięte wnioski odnoszą się również do innych przyłączonych po 1945 roku terytoriów (północnych). Już zgromadzony w książce materiał źródłowy przekracza te ramy – by wspomnieć tylko analizowane pamiętniki mieszkańców nadmorskiego Darłowa czy opowiadania Najtrudniejszy język świata Henryka Worcella, których fabuła toczy się w sudeckiej wiosce. Nadodrże okazuje się zatem nazwą sztuczną, wręcz pustą, z trudem wywołującą u polskiego czytelnika konkretne, mocne skojarzenia kulturowe. Inną sprawą wzbudzającą na koniec niedosyt jest wielokrotnie podkreślany przez autorkę dystans i nieufność wobec źródeł biograficznych podporządkowanych wymiernym celom politycznym, a przez to cenzurowanych. Zasada ograniczonego zaufania jest oczywiście w tym kontekście uzasadniona, a ostrożność nie wyklucza się z uważnymi i produktywnymi analizami fabuł biograficznych. Niemniej jednak nasuwa się pytanie już nie o samą treść biografii, lecz o sposób ich konstrukcji, mechanizmy działania i cele. Tu czytelnik musi jednak poszukać odpowiedzi na własną rękę.

Kinga Siewior